

**"Nocny burmistrz" - Kate Griffin**  
Fragment



***Wstęp – Heavymetalowe widma***

*W którym czarnoksiężnik z zaskoczeniem zauważa, że go przeklęto, poparżono, napiętnowano, ścigano i skazano bez żadnego wyraźnego powodu, a w dodatku ma na nogach cudze buty.*

Telefon zadzwonił.

Odebrałem go.  
A potem...  
...to skomplikowane.

\* \* \*

Ból.  
Brak miejsca na cokolwiek innego.  
Tylko ból.  
Minęło trochę czasu.  
Nie wiem ile. Zegarek się spalił, przywarł do nadgarstka. Nie było tam zegarów.  
Komórka została w torbie, ale nie miałem jej na ramieniu. Nie leżała też w pobliżu. Uniosłem głowę. Krzepnąca krew puściła z trzaskiem jak rzep.  
Zobaczyłem własne nogi. Miałem na nich cudze buty. Minęła dłuższa chwila, nim sobie przypomniałem dlaczego.  
Uniosłem głowę nieco wyżej.  
Torba leżała na ziemi. Spadła jednak w niewielkiej odległości ode mnie.  
Wysypały się z niej puszki z farbą i stare skarpetki. Nad nią kołysała się słuchawka. Krew skapywała z niej na ziemię. To musiała być moja krew. Nie widziałem tu żadnego innego kandydata.  
Położyłem głowę na betonie i zamknąłem oczy.  
Minęło jeszcze trochę czasu.  
Zaczął padać deszcz. Porządna nocna ulewa, wyczuwająca chłód wiatru i

pragnąca stać się śniegiem. Zorientowałem się, że moja lewa ręka, ta, którą nie odebrałem telefonu, wykonuje podstawowe polecenia. Powiedziałem „rusz się” i się ruszyła. Powiedziałem „sprawdź, czy nic się nie złamało” i sprawdziła. Złamań nie było. Nawet krew spływająca mi po karku była tylko tanim efektem. Są dwa rodzaje ran głowy – te, które wyglądają na groźniejsze niż w rzeczywistości, i śmiertelne. Nie zginąłem po raz drugi. Pozwoliłem lewej ręce odpocząć.

Wiatr niósł strugi deszczu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W mroku było je widać jako taflę rozświetloną sodowym blaskiem latarni usytuowanej na granicy tego skrawka wybetonowanej pustki. Słyszałem bębnienie kropel o dachy i szum spływającej rynsztokami wody, z którą niesprzątany od trzech tygodni syf spływał do kanalizacji. Deszcz był błogosławieństwem. Unieśliśmy drżącą prawą rękę ku chłodnej wodzie, by zmyła nam krew z palców. Później, gdy wilgoć zaczęła przesiąkać przez płaszcz, palący ból ustąpił miejsca wnikającemu w kości zimnu.

Pora było uciec z deszczu, a to znaczyło, że trzeba wstać.

Herkules nie mógłby nam niczym zaimponować. Muhammad Ali byłby pod wrażeniem.

Wstaliśmy.

W połowie tej czynności moje kolano pośliznęło się na mokrym betonie. Prawa dłoń uderzyła o szorstką powierzchnię i omal nie krzyknęliśmy.

W tym punkcie Terminator dałby za wygraną i poszedł spać. Templariusze przełożyliby resztę na jutro.

Wstałem. Otaczający mnie świat przechodził od krwawej czerwieni do szafirowego błękitu i z powrotem. Dogasająca latarnia bzyczała jak komar. W plastikowej osłonie żarówki zebrała się woda, rzucająca na czarno srebrną ulicę falujące cienie. Powlokłem się do telefonu. Podniosłem wyblakłą torbę z plastikowego włókna udającego bawełnę i przerzuciłem ją sobie przez ramię. Słuchawka kołysała się bezwładnie na przewodzie. Dobiegał z niej najbardziej samotny dźwięk na świecie:

*Piiiiiiiiiiiiiiii...*

W szczelinę między aparatem telefonicznym a ścianą wetknięto wizytówki z ofertami takimi jak:

**!!!SEKSSEKSSEKSSEKSSEKS!!**

Albo:

**\*\* FAJNA WESOŁA BLONDYNKA \*\***

Albo:

**CHCESZ SKOŃCZYĆ ZE WSZYSTKIM?**

**ZADZWOŃ DO SAMARYTANÓW.**

Miałem na szyi szalik; zauważyłem, że jego koniec jest nadpalony. Zaciągnąłem go mocniej i schowałem pod płaszcz o beżowym kolorze, na deszczu przeradzającym się w brązowy. Bolała nas głowa. Wszystko nas bolało. Tak wiele części naszego ciała domagało się uwagi, że trudno je było

zidentyfikować. W torbie miałem solidnie sfatygowaną apteczkę. Znalazłem bandaż i owinąłem nim prawą rękę. Widziałem tylko krew, deszcz i ciało koloru gniewnej purpury, obrzmiałe tak bardzo, że trudno było określić, gdzie się zaczynają palce. Żeby bandaż nie spadł, włożyłem czarną rękawiczkę bez palców. Ucisk zwiększył ból, ale to było korzystne. Pozwalało zlokalizować cierpienie, nie zauważać sygnałów płynących z innych miejsc. Rozejrzałem się wkoło.

Byłem w stacji obsługi. Wiedziałem o tym dzięki zwróconemu w stronę ulicy brudnemu szyldowi barwy słabej herbaty. Napis głosił: „MYJNIA I CZĘŚCI ZAMIENNE”. Nie było żadnych innych znaków wskazujących na funkcję tego miejsca. Tylko betonowa podłoga pod gołym niebem, cztery ściany z blachy falistej i łańcuch zamykający wjazd. Nie widziałem żadnego sprzętu poza telefonem i kilkoma porzuconymi wiadrami. Ze szczelin w betonie wyrastały chwasty. Rozerwana plastikowa płyta, mogąca kiedyś być dachem, łomotała na wietrze.

Nieopodal przejechała ciężarówka. Dźwięk rozpryskujących wodę kół zawsze wydaje się bardziej odległy, niż jest w rzeczywistości. Tak późną nocą, czy może tak wczesnym rankiem, po ulicach jeżdżą właściwie wyłącznie ciężarówki, dostarczające do supermarketów świeżą żywność, którą ułoży się na półkach za niesprzedanymi resztkami z wczoraj. Ciężarówki i nocne autobusy, w których każdy pasażer jest podejrzany, choćby dlatego, że nie śpi, a wszyscy kierowcy to szaleńcy słyszący zew piątego biegu, gdy tylko wjadą na pustą ulicę.

Głowę wypełniał nam ból. Czulem pulsowanie każdej tętnicy. Dręczyły nas mdłości. Spojrzałem na słuchawkę, a potem wyciągnąłem rękę, kostkami dłoni do przodu, bo bałem się musnąć ją palcami. Dotknąłbym słuchawki, ale powstrzymał mnie dźwięk, czy raczej jego brak.

Płynące z niej *piiiiiiiiiiiiiiiii* umilkło nagle.

Cofnąłem odruchowo rękę. Słuchawka zwisała bezwładnie jak zdechła kałamarnica. Wytężyłem słuch. Szum deszczu, brzęczenie gotowej zgasnąć latarni. Cofnąłem się o kilka kroków, osłaniając prawą dłoń. Nie spuszczałem wzroku z telefonu.

Szum deszczu, brzęczenie latarni, odległy świst opon...

I co jeszcze?

Przymknęliśmy oczy, nasłuchując uważnie.

Szum deszczu, brzęczenie latarni, świst opon, tupot szczurów pod ziemią, kroki miejskiego lisa, króla środka drogi, szelest gołębia moszczącego się w rynnie na dachu i co jeszcze? Buczenie przewodów elektrycznych tuż na granicy słyszalności, zapach deszczu, ta niewiarygodnie czysta woń usuwająca na kilka minut wszelkie zanieczyszczenia powietrza, stukot drzwi frontowych gdzieś daleko, trzeszczenie niewyłączonego na noc radia, zawodzenie alarmu samochodowego, śpiewne wycie syreny, w wielkiej dali *babachbabachbabach* pociągu towarowego zmierzającego na stację Willesden Junction i... i...

Tak jest, na samej granicy percepcji, wykryłem coś niezwykłego.

Brzmiało to tak:

*Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi bum bum czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi bum bum...*

Nie potrafiłem określić, co to może być. Przeraził nas fakt naszej ignorancji.

Potrzebowaliśmy broni.

*Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi.* Dźwięk nasilał się z każdą chwilą. *Czi cziczi czi cziczi czi cziczi.* Nie musieliśmy już nawet zamykać oczu, by go usłyszeć. Był coraz bliżej. *Czi cziczi czi cziczi...*

Brzęcząca lampa pękła w końcu i zgasła. Sodowy oranż przeszedł w migotliwy błękit widoczny w samym środku. Potem pochłonęła go ciemność. W wielkim mieście łatwo zapomnieć, jak ciemna potrafi być prawdziwa noc.

Ruszyłem przed siebie. Przeszedłem nad łańcuchem. Wyszedłem na ulicę.

Na jej drugim końcu, kilkaset jardów ode mnie, dostrzegłem jakieś skryte w cieniach sylwetki.

Zwracały się ku mnie.

Odwrociłem się w drugą stronę. Gdybym miał na nogach własne buty, zacząłbym biec.

\* \* \*

Byłem w Willesden.

Jezu.

W Willesden to znaczy wszędzie i nigdzie.

Leży za daleko od centrum Londynu, by można je uznać za część właściwego miasta, ale za blisko, by kwalifikowało się jako przedmieścia. Nie jest wystarczająco eleganckie, by być zadbane albo mieć mieszkańców wywodzących się z jednej klasy, ale za mało nędzne, by pełni przekonania o własnej sprawiedliwości miejscowi biurokraci uznali je za „strefę działań”. Nie ma szczególnego charakteru etnicznego, lecz zamieszkuje je mieszanka wszelkich możliwych elementów, od Anglików w dziesiątym pokoleniu, marzących o południu Francji, aż po Afroantyńczyków w trzecim pokoleniu, którzy nigdy nie widzieli równikowego słońca. Przebiega przez nie cały labirynt ulic, linii autobusowych, torów kolejowych oraz kanałów, ale większość z nich przecina je tylko, zmierzając ku w jakiemuś lepszym miejscu. Nikt właściwie nie wie, gdzie Willesden się zaczyna i gdzie się kończy.

Można tam znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie, pod warunkiem, że nie próbuje się tego szukać.

Nigdy w życiu nie wybrałbym się do Willesden z własnej woli. Coś jednak komuś obiecaliśmy i ta obietnica zaprowadziła nas tutaj. Potem w opuszczonej stacji obsługi zadzwonił telefon i odebraliśmy go...

...a teraz na nocnych ulicach pojawiło się coś nowego.

Czułem to.

Słyszałem.

Odgłos przywodzący na myśl rozjuszoną pszczołę uwięzioną w słoiku i tłukącą głową o szkło w szybkim, regularnym rytmie.

*Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi...*

Cynicy zwą to losem, romantycy przeznaczeniem, a prawnicy złą wolą. Nikt nie używa słowa „przypadek”. Ja również nie. Jeśli ktoś widzi krążące na niebie sępy i słyszy odległy huk dział, nie twierdzi, że to przypadek. W tym mieście nie brakowało ścierwojadów, które nocą mogła przywabić woń krwi. A nasza krew bynajmniej nie była wyłącznie ludzka.

Pomyśleliśmy o odwadze, zastanowiliśmy się nad walką, rozważyliśmy ucieczkę. Doszliśmy do wniosku, że dzisiejsza noc nie jest odpowiednią porą na dumę. Uciekniemy.

Próbowałem biec, ale nie byłem w stanie. Buty, które miałem na nogach, również były elementem obietnicy. Były dla mnie za duże, a dwie pary skarpetek, który włożyłem, by zaradzić tej sytuacji, nasiąkły deszczówką. Moja prawa dłoń nadawałaby się na przynętę na rekiny, głowę zaś odpilowano i przytwierdzono z powrotem za pomocą zszywacza. W głębi duszy wiedzieliśmy też, choć nie odważyliśmy się o tym myśleć, że zapewne są to tylko powierzchowne skutki dzisiejszych wydarzeń. Odebranie telefonu może wywołać efekty poważniejsze niż poparzenie dłoni.

Szedłem tak szybko, jak tylko mogłem w deszczu. Unosiłem głowę jak gołąb, by spojrzeć przed siebie, a potem ją opuszczałem, by mruganiem usunąć wodę z oczu. Skrzynka pocztowa, latarnie, padający deszcz, domy bliźniaki, przejście dla pieszych, ze światłami, w których dawno już rozbito jedną z mrugających, pomarańczowych lamp. We wszystkich oknach było ciemno, tylko w jednym jaśniał ekran telewizora. Staruszka jak co dzień zasnęła przy płynących z pudła pocieszających bzdurach. Gdzieś w ogrodzie za domem kot rozdarł się nienaturalnym głosem oznaczającym seks albo śmierć.

Na skrzyżowaniu w kształcie litery T, widocznym przede mną, stał nocny autobus, w jasnej bieli jego okien siedziały cienie. Nie był piętrowy, kursował tylko na krótkiej trasie. Staruszkowie jeżdżą nimi po książeczki emeryta. Przy każdej zmianie prędkości po podłodze takich pojazdów turlają się puszki po piwie. Nie widziałem numeru, ale było mi wszystko jedno. Cztery czerwone ściany i koła zapewnią mi wystarczającą osłonę.

Przyśpieszyłem kroku, pół idąc, a pół padając przed siebie w rytm własnych kroków. Przestałem się już przejmować zimnem i wilgocią, chciałem tylko jak najszybciej znaleźć się gdzie indziej. Przy ulicy stały teraz budynki komunalne, zbudowane z szarego betonu naznaczonego przez deszcz czarnymi plamami. W bramach paliły się światła, a na niskim murku dzielącym parter od ulicy jakiś dowcipniś napisał wielkimi białymi literami:

*ODDAJCIE MI MÓJ KAPELUSZ*

Odwróciłem się w stronę autobusu akurat na czas, by zauważyć, jak jego światła stopu znikają za rogami. Podeszedłem bliżej i zauważyłem białawy blask bijący od ulokowanej pod platanem wiaty. Ruszyłem ku niej. Gdy przechodziłem pod latarniami, mój cień przemieszczał się w przód i w tył jak wskazówka na zegarze słonecznym.

Pod wiatą ktoś był. Albo przedtem go nie zauważyłem, albo przyszedł dopiero przed chwilą.

Istniały też inne, mniej przyjemne możliwości, ale staraliśmy się je ignorować. Siedział na wąskiej, czerwonej ławce, którą celowo uczyniono tak niewygodną, jak tylko się dało. Rozstawiał szeroko kolana, jakby ktoś wepchnął mu frisbee do portek, ręce zaś skrzyżował na piersi, by podkreślić, że wszystko mu zwisa. Miał na sobie o trzy numery za duże jasnoszare spodnie, odziedziczone po starszym bracie, który zdołał poprawić swój byt. Ich krok zaczynał się na wysokości kolan. Miał też czarne rękawice przypominające noszone przez motocyklistów, sportowe buty ozdobione fałszywymi znakami firmowymi oraz szary kaptur, opuszczony tak nisko, że nie widziałem nawet nosa. Przypominał raczej element mnisiego habitu niż modny dodatek, czy – Boże broń – ochronę przed deszczem. Głowa kołysała się lekko w rytm muzyki płynącej ze słuchawek o przewodach znikających pod dressem. Słysząc było tylko regularne: *Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi...*

Nie była to rozjuszona pszczoła, lecz rytm nastawionej za głośno muzyki. Melodię, jeśli w ogóle istniała, całkowicie zagłuszały basy. Szaleństwo nie oznaczało już mówienia do siebie. Technika wszystko zmieniła.

To jednak było coś więcej.

Ktoś wrzucił na dach wiaty mały plastikowy śrubokręt i coś, co wyglądało na dziecięcy lewy but. Miał kiedyś ładny, różowy kolor, ale deszcz oraz ciemność uczyniły go brudnoszarym. Pojedynczą białą lampę pokrywały brudne plamki pozostałe po setkach owadów, które wlażyły do środka i przekonały się, że ich skrzydełka nie są w stanie znieść gorąca. Przetrwiała tylko ćma, tłukąca bezsilnie o plastikową osłonę.

Zakapturzony osobnik nadal kiwał się w rytm niedostrzegalnego rytmu. Czekając na autobus, nie powinno się wdawać w rozmowę z nieznanymi. Zwłaszcza wczesnym rankiem. Oparłem się o wiatę z jej wykazem tego, co miało o której przyjechać, ściskając poparzoną rękę.

O przypadku z reguły wspomina się wtedy, gdy wydarzy się coś dobrego. Gdy chodzi o coś złego, łatwiej jest winić kogoś albo coś. Nie lubiliśmy przypadków, choć byliśmy na tym świecie krócej niż ja. Zamieszkiwaliśmy moje ciało, byliśmy mną, jak ja byłem teraz nami, szybko uświadomiliśmy sobie, dlaczego tak wielu czarnoksiężników zginęło z powodu braku cynizmu. Byłem przedtem naiwnym czarnoksiężnikiem i to kosztowało mnie życie. My, którzy narodziliśmy się na nowo w moim ciele, nie zamierzaliśmy powtórzyć tego samego błędu. Zbyt wielu ludzi słyszało o niebieskich elektrycznych aniołach, by nasz nowo zdobyty status śmiertelnika mógł być bezpieczny.

*Czi czi czi czi czi czi...*

Ponieważ nie wierzyłem w przypadki, uniosłem głowę, przerywając kontemplację rozkładu jazdy, zwróciłem się do siedzącego na czerwonej ławce indywiduum i zapytałem:

– Hej, która godzina?

Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Halo, kolego, masz ogień?

Rozejrzał się wkoło, niezbyt szybko. Nie musiał się śpieszyć, tacy jak on nigdy tego nie robią. Odsunąłem się, instynktownie sięgając zabandażowanymi palcami do najbliższego światła, najbliższego odprysku elektrycznej mocy. Dobrze by było choć raz przeżyć miłą niespodziankę.

Okazało się, że to nie „on”, tylko „ono” i że „ono” nie ma twarzy. Ubrania wypełniało jedynie powietrze, a para białych słuchawek unosiła się w pustce jego nieuszu. Łachom wypchanym na podobieństwo ludzkiego ciała kształt nadawały powietrze, pogarda dla grawitacji i wypaczenie ciśnienia, unoszący się nad ziemią cień i dryfująca z wiatrem pustka, połączone razem w coś nic ubrane w dres. To było ono i ono było widmem.

\* \* \*

Kiedyś, gdy byłem jeszcze młody, zabrano mnie do jasnowidza. Nazywał się Khan. Potrafił wyczytać przyszłość z wnętrzości starych toreb na zakupy oraz krzyżujących się ze sobą śladów pary na niebie. Opowiedział mi o bardzo wielu rzeczach. Większość z nich przypominała coś, co można znaleźć w bożonarodzeniowej tubie z niespodzianką, na koniec jednak oznajmił:

– Hej, stary, mówię ci, na sto procent kopniesz w kalendarz.

Odpowiedziałem mu: „Ehe, też tak myślę” albo coś w tym rodzaju.

Czarnoksiężnicy nie żyją zbyt długo, zwłaszcza miejscy.

– Hej, stary, nic nie rozumiesz! – obruszył się wtedy. – Po prostu... kopniesz w kalendarz. Dopiero później zaczną się komplikacje.

Wówczas pomyślałem, że to miała być pretensjonalna przerośnia.

\* \* \*

Na dar proroctwa można patrzeć z dwóch różnych punktów widzenia. Pierwsza teoria brzmi następująco: prorok widzi przyszłość = istnieje z góry wytyczona ścieżka, którą postrzega = przeznaczenie = wolna wola nie istnieje = wszechmocny Bóg z naprawdę chorym poczuciem humoru. To zła wiadomość

dla każdego, kto w duchowym porządku dziobania zajmuje pozycję niższą niż papież.

Druga teoria: prorok widzi przyszłość = zdolność określenia z niemal wszechmocną dokładnością i biegłością najprawdopodobniejszego biegu wydarzeń za pomocą bardzo licznych elementów, takich jak ludzka wolna wola, czynniki losowe, nieustanne, niespodziewane zakłócenia = wszechmoc = Bóg w ludzkim ciele. Khan w żadnym wypadku nie przypominał mi Boga, ale jak zawsze mawiał pan Bakker, czarnoksiężnik musi mieć otwarty umysł, na wypadek gdyby ktoś spróbował wałnąć weń młotem kowalskim.

To było w dawnych dobrych czasach.

Nim jeszcze pan Bakker dostał wylewu. Nim postanowił, że nie umrze. Nim jego cieniowi wyrosła para zębów i nim polubił smak krwi. Nim Wieża zabiła wszystkich czarnoksiężników w mieście w imię pana Bakkera. Nim jego cień zamordował mnie, pewnej pochmurnej nocy nad rzeką, w swym nieustannym poszukiwaniu życia. Przed niebieskimi elektrycznymi aniołami, bitwami, zemstą i życiem pozostawionym w przewodach telefonicznych.

Przed naszym powrotem do świata śmiertelników.

Żaden człowiek nie zdoła przeżyć wyprucia narządów wewnętrznych przez gniewną manifestację wcielonej woli umierającego czarnoksiężnika. Albo i przez ostre narzędzie, jeśli już o tym mowa. A choć fakt, że nadal tu jestem, może zaprzeczać owej medycznej prawdzie, kiedy patrzę w lustro, zawsze sobie przypominam, że moje oczy były piwne. Nie miały barwy gorejącego elektrycznego błękitu.

Khan miał rację, choć, rzecz jasna, jego ostrzeżenia w niczym mi nie pomogły. Wyobraźcie sobie, jak się zawstydzilem.

\* \* \*

Rzuciłem się do ucieczki.

Widzicie, do czego możemy być zdolni, jeśli sytuacja tego wymaga?

Nasze stopy uderzały rytmicznie o mokry chodnik, a para oddechu znikła w strugach deszczu. Nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, jak śmiesznie brzmi biegnący człowiek. Podskakująca torba i tupot nóg. Niezgrabny i zmoknięty. Przemknąłem przez pustą ulicę i w ciągu kilku sekund, z których każda trwała godzinę, znalazłem się na osiedlu domów komunalnych. Mijałem drzwi zabezpieczone żelaznymi kratami i drzwi pokryte dziecięcymi bazgrołami, okna wybite i okna umyte, oraz wyszorowane progi, rowery zabezpieczone kłódką i rowery rozbite, puszki przewrócone i puszki opróżnione, kwiaty zadbane i doniczki porzucone, postanowienia rady wykonane i zapomniane, a także mury pokryte graffiti wyrażającymi bezładne myśli mieszkańców...



*C & J NA WIEKI*

*KTO NIE LUBI SUPERSZYBKICH POCIĄGÓW ZASTANÓWCIE SIĘ NAD  
TYM*

*GRAFFICIARZE ŚMIERDZA*

*Şapkami geri ver!*

Pośrodku zapuszczonego trawnika znajdował się plac zabaw: dwie smętne huśtawki nad „bezpieczną” nawierzchnią, od której miały się odbijać spadające dzieci. Do poręczy przymocowano łańcuchem rower bez kierownicy, kół i siodełka.

Przy rowerze czekało kolejne widmo. W pierwszej chwili pomyślałem, że to zwykły chłopak, ale kiedy uniosło wzrok, zobaczyłem, że pod kapturem jest pustka. I ta pustka gapiała się na mnie. Było ubrane identycznie jak to na przystanku, ale nic nie mogłoby się poruszać tak szybko, a poza tym z jego słuchawek dobiegało *dumdumdumdumdumdumdum*, monotonne jak bicie serca. Spoglądaliśmy na siebie przez chwilę. Byłem zbyt zmęczony, by wyglądać na przestraszonego, ono zaś zbyt puste, by w ogóle na coś wyglądać. Potem odchyliło głowę i ryknęło. To był dźwięk starych hamulców, które zaraz przestaną działać, ich ostatni krzyk protestu na oblodzonej jezdni, zgrzyt ostrego metalu trącego o zardzewiałą powierzchnię, brzęk pękającej struny gitarowej. Pochyliłem się i osłoniłem uszy, licząc na to, że dźwięk przejdzie górą. Szyby w oknach drżały i pękały, huśtawki kołysały się rozpaczliwie.

Widma zawsze polują w grupach, a ich zew łatwo pomylić z krzykiem.

Wcisnąłem lewe ucho w bark i wsadziłem rękę głęboko do tornistra. Po chwili znalazłem to, czego szukałem: puszkę czerwonej farby. Potrząsnąłem nią, nacisnąłem guzik i otoczyłem się podwójną czerwoną linią. Deszcz natychmiast zaczął ją rozmywać. Przez chwilę myślałem, że się nie utrzyma, ale podwójna czerwona linia to potężny czar, nawet przy najgorszej pogodzie. Kiedy zamknąłem krąg, farba rozjarzyła się jaśniej, przybierając utrwaloną postać. Dźwięk umilkł. Być może widmo doszło do wniosku, że krzyk zda się na nic przeciwko namalowanej na ziemi osłonie. Albo zabrakło mu tchu w niematerialnej piersi. Trudno jest coś wyczytać z fizjonomii stworzenia, które jej nie ma. Słyszałem zawodzenie alarmów samochodowych, a w przed chwilą wybitych oknach zapalały się światła. Wkrótce obudzi się całe osiedle. Potem zjawi się policja, a wraz z nią pytania o tych, którzy nie żyli, ledwie żyli i którzy powinni nie żyć. Nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie czasu na takie nieistotne drobiazgi.

Widmo ruszyło ku mnie. Nie rzucało cienia i nie wydawało żadnego dźwięku, poza płynącym ze słuchawek *dumdumdumdumdumdum*.

Za plecami usłyszałem czy cziczi czy cziczi stworzenia z przystanku autobusowego. Przez dźwięki alarmów przebijał się też inny, coraz głośniejszy, basowy odgłos:

*Bum bum bum bum te bum bum bum bum te-bum.*

Przykucnąłem wewnątrz czerwonego kręgu, wcisnąłem palce w nawierzchnię i

powęszyłem. Nie miałem odpowiedniego sprzętu, nic, co mogłoby zrobić coś więcej niż spowolnić widma. Tylko w chwili, gdy sprawdzałem zawartość tornistra, zdążyły pokonać dwadzieścia jardów. Najbliższe z nich zatrzymało się, dotykając palcami u nóg krawędzi podwójnej czerwonej linii. Sięgnęło urękawiczoną dłonią do obwisłej kieszeni kangura w swej szarej kurtce i wyjęło z niej nóż sprężynowy. Był tani, z czarnego plastiku, a u podstawy srebrnawego ostrza zrobiono kilka nacięć, zapewne niesłużących żadnemu celowi poza tym, by dodatkowo oszpecić i tak brzydki nóż i w ten sposób uczynić go bardziej bajeranckim. Ostrze miało najwyżej cztery cale długości, ale to i tak dwa cale więcej niż grubość naszego nadgarstka, więc rozmiar nie miał znaczenia. Gapiliśmy się na to z fascynacją.

Widmo uniosło nóż i uderzyło nim w kierunku mojej twarzy. Gdy ostrze wniknęło w powietrze nad czerwoną linią, zatrzymało się nagle, jak wbite w gęstą pianę. Farba na ziemi zagotowała się z sykiem. Widmo nie przestawało napierać, ściskając rękojeść w obu rękach. Po chwili ostrze zaczęło się powoli do mnie zbliżać.

Z tyłu dobiegł świst powietrza. Towarzyszył mu smród palonego plastiku. Drugie widmo robiło to samo, co pierwsze. Z kąta przy śmietniku wyłoniło się trzecie, zbliżając się do mnie niedbałym krokiem. Wiedziałem, że nie musi się śpieszyć.

Wbiłem palce głębiej w nawierzchnię. Ugięła się pod naciskiem jak suche płatki zbożowe, zimne i kruche. Opierała się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie się rozstąpiła. Wepchnąłem pod ziemię palce, nadgarstek, a wreszcie całe przedramię aż po łokieć. Nadal za płytko. Pochyliłem się z przekleństwem na ustach, dotknąłem policzkiem ziemi i wcisnąłem bark głębiej w nawierzchnię. Źródło było słabe i odległe, ale wystarczająco bliskie, bym mógł go dotknąć palcami. Co ważniejsze, czułem jego zapach. Rury gazowe zawsze umieszcza się głęboko pod ziemią. To oczywisty środek ostrożności.

Wysunąłem palce z ziemi. Ciągnęły się za nimi kawałki czarnej, smolistej nawierzchni. Do mojej kończyny przylepiła się wilgotna ziemia barwy gliny. Moje kończyny pozostawiły w nawierzchni szerokie rozdarcie. Powietrze nad nim tańczyło jak fatamorgana na pustyni. Poczulem woń gazu, sztucznie dodawaną do niego w fabryce, suchy smród wypełniający każdą część nosa i powodujący łaskotanie gardła. Wstałem, pozwalając, by gaz mnie otoczył, obserwowałem, jak tworzy kałuże wokół moich stóp i kostek. Uniosłem ręce, by zaczerpnąć go w górę, w tej samej chwili, gdy czerwone linie, które namalowałem na ziemi, zaczęły topnieć, spływać, zamazywać się. Migotliwa zasłona otoczyła mnie ze wszystkich stron. Z oczu ciekły mi łzy, a w płucach czułem ból. Sięgnąłem głęboko do tornistra, wyciągając mocno sfatygowaną zapalniczkę, która nigdy nie przypaliła papierosa. Wsunąłem ją w prawą, zabandażowaną dłoń, osłoniłem twarz płaszczem i zgarbiłem się, starając się stanowić jak najmniejszy cel.

Osłona pękła w jednej chwili. Trzecie widmo, pan *Bum bum bum bum te bum*,

było jeszcze kilka jardów ode mnie. Gotująca się u moich stóp farba poczerniała i złuszczyła się, jak skóra na trupie. *Czi cziczi czi cziczi czi cziczi* uderzył nożem, wspierając cios całym swym ciężarem. Ostrze zatoczyło łuk wymierzony w moją szyję. Zamknąłem oczy i obróciłem kółko zapalniczki.

Poczułem ból w okolicach lewego obojczyka, ale to nie był czas na takie drobiazgi. Choć zaciskałem mocno powieki, rozbłysk ognia wypalił mi siatkówki, jak słońce w samym środku lata. Mimo że otuliłem się szczelnie płaszczem i skupiłem całą pozostałą mi jeszcze siłę woli na odpychaniu płomieni, żar wysuszył każdy cal moich płuc, wypalił wnętrze nosa, zamienił język w kawał wygarbowanej skóry, osmalił brwi i sprawił, że z włosów buchnął czarny dym. Z dźwiękiem *łup sss*, zawsze towarzyszącym zapalaniu gazowych pieców, otoczył mnie krąg żółtych płomieni, oddalających się od jaskrawobłękitnego wnętrza. Fala uderzeniowa wgniotła wszystkie pobliskie okna, które przetrwały krzyk widma, a potem rozerwała zasłony, wbijając w ściany odłamki szkła. Ustawione w szeregu puszki na śmieci eksplodowały, a ich zawartość natychmiast ogarnął ogień.

Zgasł jednak szybko, pozostawiając tylko syczący jęk nadal sączącego się z nawierzchni gazu. Jego dotyk parzył mnie w stopy niczym przygaszona przez deszcz świeca. Wszelkie dźwięki musiały się przebijać przez wypełniający mi uszy szum; wszystko, co widziałem, wydawało się bledsze, wypełnione roztańczoną bielą towarzyszącą ruchom gałek ocznych. Z moich włosów i płaszczu buchała para, tworząc iluzję tropiku. Podeszwy butów o zwęglonych sznurowadłach oderwały się od gorącej nawierzchni, pozostawiając w niej zagłębienia.

Fala uderzeniowa odrzuciła widma do tyłu. Dwa z nich nadal płonęły. Chwiały się w strugach deszczu, próbując ugasić ogień, który pochłaniał ich ubrania, odsłaniając nicość kryjącą się pod strzępami rękawów i poczerniałymi workowatymi spodniami. Ze słuchawek wciąż dobiegały nieustanne rytmy, charakterystyczne dla każdego z widm. Wybuch, który powstrzymałby rozjuszonego mamuta, te stworzenia zaledwie osmalił. Kupiłem dla siebie znacznie mniej czasu, niżbym tego pragnął. Z ust wyrwało mi się płynące z najgłębszych warstw duszy przekleństwo. Rzuciłem się do ucieczki. Gorące podeszwy moich butów z sykiem uderzały o zimną, moką nawierzchnię. Minąłem dwie przecznice, nim brak tchu w płucach i wypełniający mięśnie ogień kazały mi zwolnić. Poruszałem się teraz naprzód długimi niepewnymi susami. Mój zaprzątnięty sprawami ciała umysł zameldował o nowym wrażeniu. Tuż pod lewym barkiem po skórze spływał mi gorący swędzący strumyk. Nie zatrzymując się, zdjąłem szalik i płaszcz, by sprawdzić, w czym problem. Koszulę miałem różową od zmieszanej z deszczówką krwi. Nóż widma uderzył daleko od zamierzonego celu, w coś jednak trafił. Krwawa szrama zaczynała się tuż poniżej obojczyka, a kończyła głęboko pod pachą. Otwierała się i zamykała przy każdym moim kroku, jakby opowiadała jakiś niesmaczny kawał. Odwróciliśmy twarz i przycisnęliśmy obandażowaną dłoń do rany, by zasłonić

ją przed naszym wzrokiem. Niedaleko z tyłu znowu rozległy się krzyki widm i dźwięk pękających szyb. Spróbowaliśmy poderwać się do biegu, ale zdołaliśmy wykonać tylko kilka pozbawionych godności kroków, nim ból przeszywający kończyny przekonał nas, że wolimy śmierć od pośpiechu.

Minąłem róg i wyszedłem na ulicę pełną sklepów, takich, nad którymi znajdują się mieszkania właścicieli. Światła były przygaszone, a kotary zaciągnięte. To były osobliwe, niewiarygodne punkty, już przed wielu laty wyparte z centrum miasta: dyskonty oferujące wyłącznie plastikowe skrzynki i suszarki do naczyń, fryzjerzy specjalizujący się w dredach, hurtownicy handlujący jamajską przyprawą, szewcy przy okazji dorabiający klucze i sprzedający płaszcze przeciwdeszczowe, podejrzane sklepy komputerowe proponujące rozmowy z Zambią w cenie pięciu pensów za minutę. Z wystaw sklepów z tanią odzieżą spoglądały na mnie ze wzgardą anorektyczne manekiny, stworzenia o taliach cienkich jak mój nadgarstek. Wewnątrz mrocznego pubu maszyna do bingo wabiła klientów wszystkimi kolorami tęczy i trzema wirującymi wisienkami, obiecując dwadzieścia funtów wygranej w zamian za jednofuntową inwestycję. Z przepelnionych puszek na śmieci wypadały darmowe gazety i pojemniki z żywnością na wynos, których zawartość obwąchiwał miejscowy, uzależniony od falafeli lis. Przejeżdżał tędy może jeden samochód na minutę. Światła przechodziły z czerwonych w żółte, zielone, żółte i znowu czerwone, nie przepuszczając niczego poza mną i deszczem.

Słyszałem...

...nadal daleko z tyłu, ale nie sposób było zaprzeczyć, co to było, dawno już minąłem punkt, w którym wyobraźnia może kłamać...

*Dumdumdumdumdumdum*

*Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi*

*Bum bum bum bum-te-bum bum*

*Szhhszhhszhhszhhszhha szhhszhhszhha szhhszhhszhhszhha*

Widma zawsze polują w grupach. Przeciętnie cztery albo pięć sztuk, ale czytałem artykuł wspominający, że w niektórych miastach widuje się stada dochodzące liczebnością do dwunastu.

Wlokłem się wzdłuż ulicy, ściągając po drodze gorące światło latarni i ściskając je w zaciśniętych pięściach. Trzymałem jego pocieszającą sodową jasność blisko twarzy i piersi, zmywając z nich strach i zimno, aż wreszcie moja skóra załśniła w nim różowopomarańczowym blaskiem. Po prawej stronie miałem szkołę podstawową o zamkniętych bramach i wysokich murach pomalowanych farbą antywspinaczkową. Ułożona przez dzieci mozaika mówiła, że narkotyki są niedobre, a superbohaterowie dbają o rodzinę. Dalej była przychodnia lekarska, nieco odsunięta od ulicy, położona za mokrym błotnistym trawnikiem. Żaluzje były zasunięte, a drzwi zamknięte na kłódkę. Po lewej znajdowała się pralnia samoobsługowa. Przed wielkimi, śpiącymi maszynami stały krzesła z pomarańczowego plastiku. Dalej był sklep z płytami winylowymi, w dzisiejszych czasach rzadkość mająca zapewnione powodzenie u entuzjastów;



„zielenią osiedlową”, a potem skręciłem w ulicę, na której rosły stare drzewa. Parkowałem tam samochód naprawczy, pomarańczowa platforma unosiła się ku potłuczonej latarni. Zmoknięty, przemarznięty facet w odblaskowej kamizelce wymieniał żarówkę. Przebiegłem obok, a on mnie zignorował, wiedząc, że krwawiącym nieznanym biegnącym przez noc lepiej nie zadawać pytań. Były za mną. Nie musiałem się oglądać, żeby to wiedzieć. Ból pod obojczykiem, do tej pory powstrzymywany przez szok, zaczynał dawać mi się we znaki. Czułem, że przy każdym kroku rana się otwiera i zamyka jak skrzela złotej rybki. Wywierało to dziwnie elektryzujące wrażenie, jakby nasze ciało nie w pełni należało do nas, jakby było czymś, co tylko ze sobą nieśliśmy, a ból dotyczył kogoś innego, my zaś doświadczaliśmy go tylko pośrednio, na sposób biernego palenia. Z czasem z pewnością się to zmieni, a myśl o tym osłabiała nas dodatkowo, powodując ucisk w żołądku. Zauważyłem po prawej kwadrat światła. Zignorowałem go, ale potem przyjrzałem się uważniej. Miałem ochotę zaśmiać się albo rozplakać w głos.

Na szyldzie widniał napis: „Qwickstop”, jaskrawopomarańczowe litery na intensywnie zielonym tle. Oświetlona wystawa stanowiła cmentarzysko nieatrakcyjnych warzyw i owoców, poczynając od standardowych poobtlukiwanych jabłek, a kończąc na skamieniałym kabaczkum orzechowej barwy. Z obwisłej markizy na chodnik skapywały niemiarkowo krople wody. Wywieszki na drzwiach zachwalały niezliczone cuda. Trudno było uwierzyć, że maleńki przybytek może mieć tak wiele do zaoferowania. Był sklepem monopolowym, punktem sprzedaży biletów oraz kart doładowujących telefony komórkowe, członkiem straży sąsiedzkiej, oddziałem akcji Stop Przystępcości, centrum dystrybucji miejscowych wiadomości i biuletynów, punktem sprzedaży *Evening Standard*, punktem sprzedaży *Willesden Enquirer*, przestrzegał zasad uczciwej konkurencji i ofiarował żywność halal, a co najważniejsze, jak oznajmiały migające w oknie diody LED, był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Wszedłem chwiejnym krokiem do pełnego cudów lokalu.

Za ladą stał mężczyzna słuchający miejscowej pirackiej stacji nadającej w języku urdu. Miał upstrzone siwizną wąsy ze swym własnym ekosystemem, łysinę sterylną i błyszczącą jak księżyc, oraz ciemną skórę, przypominającą zaschnięty nierówno na skalpie lak. Spojrzał na mnie i doszedł do wniosku, że oznaczam kłopoty. Uśmiechnąłem się tak sympatycznie, jak tylko mogłem, ścierając z twarzy mokrym rękawem część sadzy i brudu. Odpowiedział mi uśmiechem wyglądającym jak przyfastrygowany do jego skóry. Starając się oddychać spokojnie, podszedłem do wielkiej lodówki o szklanych drzwiach i wyjąłem z niej cztery butelki najtańszego piwa. Pokuśtykałem z tą zdobyczą do lady.

– Paczkę papierosów – poprosiłem.

– Jakich, proszę pana?

Zawsze należy być uprzejmym dla ewentualnych morderców. To zasada

obowiązująca we wszystkich całodobowych sklepach.

– Najtańszych, jakie pan ma. I do tego najsilniejsze tabletki na ból.

Najtańsze papierosy w sklepie kosztowały 5,99 funta. Na opakowaniu widniał obrazek poczerniałych, zrakowaciałych płuc. Tabletki przeciwbólowe wabiły klientów barwą neonowej zieleni i futurystycznym wyglądem, nie składem chemicznym.

– I pańską taśmę klejącą – dodałem.

– Słucham?

– Taśmę klejącą.

Rolka wisiała przy kasie, w plastikowym pudełku ułatwiającym oddzieranie.

– Nie jest na sprzedaż, proszę pana.

Pochyliłem się ku niemu, wsparty o ladę. Ten ruch sprawił, że kark ogarnęły mi płomienie, a biodro zadrżało.

– Dam za nią dwadzieścia funtów – obiecałem.

Zareagował instynktownie. Tak korzystna propozycja zawsze budzi podejrzenie oszustwa.

– Przykro mi, ale...

– Jeśli nie dasz nam taśmy, zginiesz – warknęliśmy przez zaciśnięte zęby. –

Pytanie brzmi tylko, czy my cię zabijemy, czy one to zrobią.

Spojrzał nam w oczy. Kiedyś miały piwny kolor, podobnie jak moje włosy. Ale to było kiedyś. Teraz są jaskrawobłękitne jak letnie niebo i błyszczą w ciemności jak kocie ślepie. Podsunął mi taśmę. Wyjąłem portfel i zauważyłem, że po ręce i palcach spływa mi strużka krwi. Odliczyłem czterdzieści funtów w zakrwawionych banknotach, podsunąłem je sprzedawcy, zabrałem piwo, papierosy, tabletki i taśmę klejącą, a potem wyszedłem chwiejnym krokiem w noc. Sprzedawca zadzwonił pod 999. W dzisiejszych czasach za czterdzieści funtów nie kupi się zbyt wiele.

Potrzebowałem teraz spokojnego miejsca, w którym będę mógł się przygotować. Znalazłem wąski zaułek przerobiony na miejscowe śmietnisko. Usiadłem na plastikowym wieku puszek na śmieci i otworzyłem wszystkie butelki. Pociągnęliśmy łyk z jednej z nich, by się upewnić, czy piwo jest w porządku, a potem wylaliśmy resztę. Nie minie wiele czasu i widma poczują zapach, nawet w deszczu. Postawiłem butelki na ziemi, po czym wyjąłem z pudełka cztery białe papierosy i ostrożnie zapaliłem wszystkie po kolei. Płomień gasł co chwila na deszczu, ale te papierosy paliły się przy każdej pogodzie. Wkrótce wszystkie rozjarzyły się słabym ogniem. Wrzuciłem po jednym do każdej butelki. Po chwili wypełnił je dym. Taśmę klejącą schowałem do kieszeni kurtki. Końcówka wystawała na zewnątrz, bym mógł ją wyciągnąć szybko jak rewolwerowiec. I czekałem.

Nie trwało to długo.

*Dumdumdumdumdumdum*

*Czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi czi-cziczi*

*Szhhszhhszhhszhhszhha szhhszhhszhha szhhszhhszhhszhha*

*Bum bum bum bum-te-bum bum*

Wszystkie zjawy się jednocześnie, po dwa z obu stron. Tylko na filmach przeciwnicy atakują bohatera jeden po drugim. Wciągnąłem nagle powietrze z bólu. W oczach zapłonął mi migotliwy szafirowy blask. To był nasz błękitny ogień, czekający, aż go uwolnię.

– Cześć, słoneczka.

Ubrania dwóch widm zamieniły się w zwęglone szmaty spowijające puste powietrze. Stworzenia wyglądały zupełnie jak tradycyjne duchy, pomijając tylko słuchawki. Trzecie miało podarte dolne części nogawek oraz buty. Kiedy podeszły bliżej, zsunąłem się z puszki, uniosłem najbliższą butelkę i potrząsałem nią lekko, czując ruch powietrza wciąganego do środka, by karmić słaby płomień papierosa.

Wybrałem to widmo, które wyglądało na najmniej sfatygowane. Jego szary dres pozostawał nietknięty, a głowa kołysała się w rytm stłumionej muzyki.

Powlokłem się ku niemu.

– Hej, stary – zaintonowałem – szacun.

Każdy mag przyzna, że słowa mają w sobie moc.

A każdy miejski czarnoksiężnik powie, że najpotężniejszy język mocy, to ten, którym mówi ten drugi skurczybyk.

Gdy się odezwałem, widmo, poznając początek zaklęcia wiążącego, cofnęło się, łypiąc na mnie podejrzliwie. Być może w niemózgu ukrytym za nietwarzą osłoniętą szarym kapturem zrodziła się świadomość tego, co się zaraz stanie.

Było już jednak za późno. Byliśmy zbyt wściekli, by myśleć o skrusze. Wbiłem szyjkę otwartej, dymiącej butelki w sam środek owej pustki, wrażliwą ją w gęstą nicłość, jakby była włącznią i jakbyśmy toczyli wojnę. Chyba próbowało krzyknąć, ale butelka wessała dźwięk. Uniosło ręce, przesywając powietrze, ale było już za późno, o wiele, wiele za późno. Jęczało i gwizdało, gdy esencja jego nieegzystencji była wsysana do wnętrza butelki po piwie, szarpało się i wilo. Szary kaptur zaczął opadać, gdy nieczaszka, na której się wspierał, się zapadła, wnikając do szklanego więzienia. Potem ramiona opadły, tułów załopotał na wilgotnym wietrze, rękawiczki zsunęły się z rąk za małych, by je podtrzymać, rękawy zrobiły się zupełnie płaskie, spodnie osunęły się na ziemię, a buty skurczyły nagle.

Po krótkiej chwili, nie dłuższej niż sekunda, nie zostało nic poza stosem szarej, targanej wiatrem odzieży. Zatkąłem wylot butelki kciukiem i zajrzałem do środka. Papieros nadal palił się jasno. Będzie tak płonął przez dziesięć tysięcy lat, chyba że jakiś idiota stłucze flaszkę. Wypełniający wnętrze dym kłębił się w oburzeniu niczym miniaturowy sztorm uwięziony w butelce razem z modelem statku.

Pozostałym widmom dało to trochę do myślenia. Zalepiłem wylot butelki taśmą klejącą i uniosłem drugą, wyciągając ją ku nim.

– No jazda! – zawołałem. – Chcecie spędzić następne dziesięć tysięcy lat na dnie puszki na śmieci?



Zawahały się.

– No jazda! – krzyknęliśmy. – Jeśli myślicie, że cienie i mrok naprawdę mogą nam zaszkodzić, pokażcie, co potraficie! Nie mamy powodu oszczędzać wam konsekwencji waszej lekkomyślności!

Nasz głos niósł się na deszczu stłumionym echem. Trzy pozostałe widma zaczęły się cofać. Roześmialiśmy się i potrząsnęliśmy butelką z uwięzioną wewnątrz nicością, przyglądając się, jak dym tańczy i kłębi się pod taśmą klejącą, a papieros płonie gniewnym karmazynowym płomieniem.

– No jazda! – ryknęliśmy.

Uciekły.

Najwyraźniej nawet nicość ceni własne życie.

Staliśmy w deszczu na zlanym piwem i pokrytym śmieciami chodniku, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać, czy może i jedno, i drugie. W końcu nie zrobiliśmy nic. Bez względu na swe przechwałki, nie mieliśmy ochoty ścigać widm, by dokończyć robotę. Potrafiły rozpoznać niebezpieczeństwo. Mokry dres leżał u moich stóp, czerniejąc od deszczu, niczym gnijące wnętrzości pozostałe po wróżebnym rytuale.

Uniosłem butelkę, którą wbiłem w twarz widma, przystawiłem do niej ucho i wyteżyłem słuch. Nie wiem, czy to była tylko sztuczka wyobraźni, ale wydało mi się, że ze środka dobiega ledwie słyszalne...

*Bum bum bum bum-te-bum bum*

Potrząsnąłem jeszcze butelką i dla pewności oblepiłem jej wylot warstwą taśmy klejącej grubą na pół centymetra. Zauważyłem, że krew przesączyła się przez bandaż na mojej prawej dłoni i skapuje do lepkich zakamarków rękawa. Na myśl, że potrzebujemy pomocy, zachciało się nam płakać, jak jakiemuś bachorowi.

Poszedłem poszukać nocnego autobusu, który zabierze mnie z miejsca leżącego wszędzie i nigdzie w jakiejś innej, które jest gdzieś.

Po drodze zastanowimy się, dokąd chcemy jechać.